Nr. 24. Lwów — 1888. Rok XI.

Numer pojedyńczy 15 cnt.

ISKRA

Numer pojedyńczy 15 cnt.

„Goniec“ i „Iskra“ wychodzą każde po dwa razy na miesiąc — razem cztery razy. Prenumerata na obydwa pisma wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie: 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce 20 franków rocznie — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych: **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ul. Ossolińskich l. 10.** Listy powinny być frankowane. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi 5 ct. miesięcznie.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



— Są, proszę pani, rozmaite zapatrywania na małżeństwa odpowiednie do tego, czego się w niem szuka...
— Szuka?... I któż kobieta, czy mężczyzna ma szukać?...
— Oboje!
— No, jak oboje, to pewno się coś znajdzie...



— Moja córeczko ale ty jeszcze nie możesz chodzić na bale publiczne...
— Dlaczego? dlaczego?..
— Jesteś za młoda...
— Ależ ja już jestem zakochana, więc mam wszelkie kwalifikacje...



— Ale, naturalnie, przyjaźń przyjaźnią, a interes interesem...
— Możemy się kochać i bić...
— Nie, nie — możemy się kochać i drzeć..
— Jeszcze nie tak — my się kochajmy, a drugich obdzierajmy...



— Widzisz, widzisz — niespodziewałeś się, że mnie tu zastaniesz i pod maską mnie nie poznałeś — to znaczy, że nie kochasz twojej żony i nie znasz jej...
— No, moja droga poczekaj, jak cię poznam, to cię pokocham...



— No i pan Henryk wie, że ona ma drugiego wielbiciela?..
— Wie.
— Cóż on na to?
— Nic — wyobraża sobie, że jest żonaty...



— Moja tabaka dobra — co? Nauczyłam się jej przyprawiać od nieboszczyka męża... tyle tylko miałam od niego...
— O, mój nie zażywał tabaki, ale za to smolił gorzałkę i... ja się też więcej od niego nie nauczyłam...



Obrazek przedstawiający zachmurzenie horyzontu z powodu zbrojenia się ziemi...

Do czytającej Publiczności.

Szpargał wykradziony literatowi, który nie chce drukować.

(Z pośmiertnych poezyj Bartelsa).

Bardzo często z przyjaznych ust uwagi słyszę,
(Więcej może współczuciem, jak słusznością tchnące),
Dlaczego nie drukuję wszystkiego co piszę,
Mimo zamiłowanie co raz wzrastające
Wszystkiego, co krajowe. Na to muszę z góry
Oświadczyć, z całą cechą prawdy i szczerości:
Dużo zamiłowania do literatury,
Lecz czytającej bardzo mało publiczności...

W każdym z naszych powiatów, są dwie, trzy osoby,
Które kupują co rok za złotych dwanaście
Książek do przeczytania i szafek ozdoby;
Do tego zaś dodawszy osób kilkanaście,
Co te książki pożycza i okropnie brudzi
Palcami, powidłami i wszelką tłustością —
Oto jest, z przeproszeniem, niewielki zbiór ludzi,
Który się czytającą zowie publicznością?.

Trzeba więc w literackim świecie powodzenia,
O którem mi się nawet nigdy i nie marzy,
Aby książki jakiego głośnego imienia —
Rozeszło się po kraju — pięćset egzemplarzy!!!
A dla takich widoków, któż się nie poleni
Probować literaekiej, tak pięknej wziętości,
I sąsiadować obok masła i pieczeni
W jakiej wiejskiej spiżarni — w braku publiczności..

Pisząc sam dziś dla siebie, niczem mojej woli
Nie ściśniam, piszę sobie, co myślę i czuję,
Spowiadam się serdecznie, co mnie smuci, boli...
I kogo nienawidzę — i kogo szanuję —
Drukując, dbać musiałbym o poważne zdanie
Mnóstwa panów, panienek, pań i jegomości —
Musiałbym się kłopotać zawsze niesłychanie,
Jak się to czytającej wyda publiczności?..

Czy się jedno krytyce zbyt mocnem nie wyda,
(Tej krytyce, co cnotę na głównym ma względzie),
Czy drugiem, nieobrażę jakiego tam żyda,
Czy za trzecie, ktoś trzeci, gniewać się nie będzie —
Słowem, kłopot niezmierny w głupiem stanowisku
Niezadraśnięcia czyichś tam osobistości,
A to wszystko najwięcej... dla marnego zysku
Od całej czytającej naszej publiczności...

A dopieroż krytyka różnych moralistów,
Przerabiających cnotę w rodzaj emetyku!..
A bawełniane zdania, przeróżnych purystów!..
Co ci dowiodą w chudym swym feljetoniku,
Żeś wcale nie do smaku publiczności naszej,
Że ogół potrzebuje silniejszej żywności,
Że mało mu owoców, sera, chleba, kaszy,
Że... baraniny trzeba dla tej publiczności...

I czy dogodzić wszystkim łatwo?.. Niekoniecznie —
Ten ma takie, ten inne idee za pana —
Owóż, temu pisz ostro — tamtemu pisz grzecznie —
I w końcu sam posłużysz za tego barana,
Co krytyka na strawę ducha zabić pragnie —
I w pośród walki z sobą — wśród błota i złości,
Zaśpiewasz Tadeusza — jak w owczarni jagnię —
I.. głodną śmiercią umrzesz.. w pośród publiczności...

Wiem dobrze, moi zacni panowie i panie,
I na całe wam gardło ową prawdę głoszę,
Że kłamstwem wasze jest zamiłowanie —
U was w sercu miłości — niema za trzy grosze!..
To też piszę dla siebie sumienne notatki,
Tak moich, jak i waszych głupstw. oraz słabości,
Mam przynajmniej pociechę, że staję przed kratki
Sądu własnego serca, a nie publiczności...

Zemsta golarza.

(HUMORESKA).

W mieście naszem, leżącem, jak wiadomo, przy »pójściu« Pełtwi, jakkolwiek niema przeludnienia, ale jest za to przechlebienie — jaśniej mówiąc, za wiele jest miejsca w żołądkach na to, co może dostarczyć przeciętna kieszeń i głowa porozcinanego mieszkańca. Ekonomiczny z tego wniosek taki, że na 100 mieszkańców Lwowa 25% jest zupełnie sytych, a reszta chwali Pana Boga, jak może i oszukuje żołądek... Ale wracajmy do rzeczy.

We Lwowie jest najwięcej grabarni i golarni. Nigdzie cię tak prędko i z szaloną wprawą nie wyekspediują na tamten świat, jak we Lwowie. Gdy dostaną nieboszczyka w swoje ręce, to jeszcze jednem okiem na ten świat patrzy, a już jest umundurowany, opakowany i trąbią mu, że pociąg odchodzi na Józefata dolinę... Podobno nawet wymyślono już aparat do szybkiego prostowania nieboszczyków...

Golarni także u nas jest taka gromada, że, gdyby np. wszystkim żydom we Lwowie kazano ogolić brody i pejsy, to jeśliby zajęta była tem tylko połowa lwowskich golarzy, w przeciągu godziny ogolonoby wszystkich żydów, nawet z panem Diamandem, którego, zresztą, broda rozczochrana od Zenitu do Nadiru i podobna do dojrzałego kasztana, nie zasługuje na takie barbarzyńskie obejście się z nią...

Jalousie de metier, co po polsku znaczy, wyciąganie jeden drugiemu kawałka chleba z gardła, jest między golarzami lwowskimi, tak wielkie, że szczególniej po hotelach drugorzędnych, około brody gościa toczą się formalne walki z brzytwami w rękach...

Więc na pewnej ulicy we Lwowie, usadowiło się dwóch golarzy, zaledwie o kilka domów od siebie. Obadwa byli panewie izraelici, ale z tych izraelitów, co to lubią kanarki, śpiewają z Rigoletta: »kobiete piszne jest« i jedzą na drugie śniadanie kiełbasę na widelcu za cztery centy.

Dwóch tych Figarów, oczywiście, nienawidzili się serdecznie i szkodzili sobie, jak tylko mogli. Jeden się nazywał Karasek, drugi Fajbuś.

Fajbuś był więcej pomysłowy w szkodzeniu i nurkował na zewnątrz, po domach prywatnych i po hotelach — Karasek trzymał się odpornie, był spokojniejszy i najwięcej szył buty dla swego kolegi u tych, którzy do niego przychodzili się golić.

— Pan dobrodziej, gdzie się goli — mówi do gościa.

— Goliłem się przed wczoraj u pańskiego sąsiada, u Fajbusia.

— Aj! niech pan dobrodziej wszędzie idzie, ale tam nie.

— Dlaczego?

— Ta un był w Kulparkowie, jemu i teraz po głowie, jak to mówią, zwierzątka chodzą...

— Jakie zwierzątka?..

— No te, chciałem powiedzieć, zajączki... Może być wypadek... Szalonemu brzytwe w rękę — ładny interes.

— Ale o!..

— Daj mi Boże ścięście przy skonaniu, że prawdę mówię.

— Cóż to za szczęście można mieć przy skonaniu?.

— No, to się tylko tak mówi, ale niech Pan Bóg broni!.. Ja nie życzę tego swoim wrogom... Ja mam takie miękkość w sercu, że niech tam moje wrogi nie cierpią, niech nie konają — niech ich odrazu szlag trafi — i już — po co się mają męczycz — zawsze to ludzie.

Doniosło się to do Fajbusia.

Fajbuś znał na tej samej ulicy starego kawalera, oryginała, niecierpliwego, a przytem ogromnie gwałtownego charakteru... Na grzbietach ludzkich połamał on więcej kijów, jak miał teraz włosów na głowie. Golił się sam, a czasem do Fajbusia dawał brzytwy do wyostrzenia. Ztąd znajomość. Fajbusiowi przyszła myśl. Pobiegł do owego pana i puka do drzwi, które zawsze były zamknięte.

— Kto tam!..

— Golarz, proszę łaski pana.

— Idź do djabła — nie potrzebuję wcale golarzza.

Fajbuś odchodzi, ale za półgodziny znowu wraca i puka do drzwi.

— Kto tam!..

— To ja, golarz — przyszedłem golić i strzydz.

— Idź — że ty sobie do miljon djabłów zkądeś przyszedł, bo jak Pana Boga kocham, jak mi jeszcze raz przyjdziesz i zapukasz do drzwi, to cię kijem ogrzmocę i zrzucę ze schodów...

Fajbuś wyszedł na ulicę, złapał jakiegoś małego chłopaka za rękę, nakładł mu coś w ucho i poszedł do domu.

Chłopak pobiegł wprost do golarni Karoska.

— Niech no pan idzie do tego pana, co mieszka na tej ulicy pod numerem dziesiątym, na pierwszem piętrze, ale natychmiast, bo idzie na proszony objad, chce się golić — fryzować i chce, żeby mu nagniotki wyciąć.

— Idę w tej chwili — odrzekł uradowany Karasek — tyle roboty pomyślał — najmniej da papierka.

W kilka minut już był przed drzwiami i zapukał.

— Cóż tam, u pioruna, dzisiaj z tem ciągłem pukaniem... Kto tam!..

— Golarz, proszę pana dobrodzieja.

— Co!.. Poczekaj-że, ja ci otworzę i zapukam teraz!..

Po tych słowach drzwi się gwałtownie otworzyły...

— Aj, waj! Co to jest rozbój! Gewałt! Co pan bije! za co pan bije!.. A potem rututu po schodach aż na dół...

Stękając i popłakując, pozbierał biedny Karasek wszystkie porozrzucane po schodach i sieni swoje narzędzia i wyszedł na ulicę.

Zaledwie uszedł trzy kroki, stoi Fajbuś i mówi:

— Aj jaj jaj!.. Kolege tak źle wygląda... Kolege musi być chory... Może bańków trzeba przystawić, ale prawda ten pan już przystawił i bańki i łaźnie dał — to bardzo dobry pan... Un u mnie nie chce się golić, bo un mówi, że ja był warjat — to un sze boi... Ale to dobry kundman — prawda panie kolege...

— Niech ciebie i jego szlag trafi, a potem niech was jeszcze pioruny zapalą i z tyłu, i z przodu i na wszystkie strony!.. — wybuchnął Karasek i wpadł do swego sklepu. *Iskierka.*

Z różnych beczek.

= Nie bajka.

Kulparków jest teraz na porządku dziennym.

Co się tam stanie na tym *folwarku warjatów*, niedaleka przyszłość okaże.

Tymczasem zasuspendowano Dra Dobieńskiego, jak lekarze utrzymują, jednego z naszych najzdolniejszych psychiatrów. Nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego, gdyby zasuspendowaniu powyższego lekarza nie towarzyszyły tak dziwne okoliczności, że aż wierzyć się nie chce.

Świadomi bliżej „sprawy kulparkowskiej“ utrzymują, że Dr. Dobieński padł ofiarą różnych mistyfikacyj i poświęcono go na kozła ofiarnego... Zdaje się jednak, że nie da się zarżnąć... W środkach wszakże nie przebierają...

Oto fakcik bez komentarzy.

Niejaki pan Krogulski jest urzędnikiem w Kulparkowie. W tym właśnie czasie, kiedy *łamanie żeber* zaniepokoiło opinję publiczną i stały się przedmiotem zaciętych rozpraw w Sejmie, w mieszkaniu Dra Dobieńskiego, podczas nocy, wypracowywano jakieś sprawozdanie, czy coś podobnego dla Wydziału. Udział w tem brał i pan Krogulski.

Na drugi dzień pan Krogulski zachorował.

— Co panu jest? — zapytał chorego jeden z lekarzy kulparkowskich.

— Jestem chory bardzo, ale to bardzo na żołądek.

— A coś pan wczoraj jadł?

— Jadłem kolację u Dra Dobieńskiego.

— A to on pana otruł.

— Jezus Marja! — krzyknął chory.

Można sobie wystawić położenie i strach pana urzędnika, który, bynajmniej, nie miał ochoty za pośrednictwem karawaniarzy przejechać się w taki mróz na tamten świat... Przygnębiony i na pół umarły, alarmuje cały zakład i stande pede raportuje dyrektorowi zakładu p. Neusserowi, że go otruł Dr. Dobieński...

W zakładzie wówczas znajdował się Dr. Lukas, przybyły z komisją celem zrobienia obdukcji na jakimś zmarłym warjacie. Dr. Neusser, nie zastanowiwszy się, ani chwilki, nie zbadawszy i nie wypytawszy chorego, sprowadza Dra Lukasa oznajmiając mu kategorycznie, że Krogulski otruty jest przez Dra Dobieńskiego.

Dr. Lukas lekarz zdolny i człowiek zacny, zabrał się po swojemu do „otrutego“. Poddał więc analizie ekskrementa pana Krogulskiego i naturalnie, nic w nich podejrzanego nie znalazł.

Cóż się ostatecznie okazało?

P. Krogulski objadł się sromotnie na kolacji u Dra Dobińskiego, a jeszcze sromotniej opił się zimnego piwa i zrobił w sobie taką rewolucję, że aż mu włosy na głowie stawały.

Jest obecnie zdrów, jak ryba, zakupił Mszę św. i przysiągł na niej, że nigdy już piwa pić nie będzie.

Lecz czy dochowa przysięgi?..

Dochowaj, panie — to nasza rada,
Bo kto przysięgę naruszy,
Och. biada jemu, za życia biada,
Wśród żołądkowych katuszy.

Takie to u nas panują miłe stosuneczki... — Cóż dziwnego, że wśród nich łamią nieszczęśliwym warjatom żebra...

= Opowiadają, że jeden z mieszkańców Lwowa, obłożnie i niebezpiecznie chory, zobaczywszy przedsiębiorcę pogrzebowego, który przyszedł do jego mieszkania, aby się dowiedzieć, czy już umarł — wpadł w taką pasję, że zerwał się z łóżka, zrzucił karawaniarza ze schodów i.. w kilka godzin wyzdrowiał zupełnie, choć lekarze nie robili przedtem żadnej nadziei...

= Rok 1888 jest przestępny Utrzymują, że w takich latach zwierzęta silniej się lenią, a ludzie

skwapliwiej się żenią. Można więc być prawie pewnym, że w tym roku nietylko powychodzą za mąż młode panny, ale i starych zarekrutują trochę do pułków hymenu małżeńskiego.

= Reduta artystyczna.

Cuda, istne cuda, mają się dziać na reducie, która, jak wiadomo odbędzie się w teatrze na dochód Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów sceny lwowskiej. Słynna Grigolatis, owa latająca Venus, przybyła w prost z Ameryki, aby zatrzepotać skrzydełkami nad dolą naszych artystów, przy iskrze bożej w piersiach, potrzebujących chleba i mięsa...

Jednem słowem, kto kocha artystów i scenę — ten na redutę pójdzie!

= Ładne stosunki w Tarnopolu.

Pan notarjusz Piątkiewicz, jako jedno z pism codziennych donosi, będąc gospodarzem Towarzystwa muzycznego w Tarnopolu, nie chciał dać sali trupie dramatycznej państwa Linkowskich, dopóki naprzód nie zapłacą 19 złr. 3 ct., a jak p. Świechło, sekretarz tego Towarzystwa wyjaśnia, że pan Piątkiewicz postąpił samowolnie, a głównie dlatego że mu się od tego Towarzystwa należało 19 złr. 3 ct., więc chciał tym sposobem wyrównać rachunek na skórze biednych aktorów polskich.

Panu Piątkiewiczowi nie dziwimy się — mąż ten znany powszechnie w Tarnopolu z głębokiej i niczem nie wzruszonej miłości do... pieniędzy... Życie pana Piątkiewicza, to formalny romans notarjusza z monetą... Możnaby z tego romansu wykrzesać ładną operetkę... Więc się panu Piątkiewiczowi nie dziwimy — ale dlaczego Towarzystwo muzyczne wybiera, czy mianuje takiego gospodarza? Czy to nie wstyd wyprawiać po prostu takie zgorszenia publiczne? Więc sterany aktor polski, zasłużony scenie polskiej ze swoją żoną ma w Tarnopolu umierać pod płotem, bo Towarzystwu, także artystycznemu nie mogło 19 złr. 3 ct. zapłacić *naprzód*. To nędzne!..

Teatr.

Durand i Durand 3 aktowa farsa dwóch francuskich autorów, mało, lub wcale nieznanych europejskiej publiczności, w przekładzie polskim, przedstawioną została w tych dniach na naszej scenie. Krotochwila ta, osnuta na starym i bardzo podszarzanym motywie qui pro quo, podobała się szerszej publiczności, a podobała się dlatego, że pomimo zużytego tła komicznego, posiada sporą dozę sytuacyjnego komizmu i frazesowego dowcipu — będzie ona stałym nabytkiem repertoaru.

Główne role spoczywały w rękach pp. Frenkla i Kwiecińskiego. P. Frenkel grał prowincjonalnego agronoma, ojca wydanej za mąż córki z tym prze pysznym, naturalnym humorem, który jest ozdobą jego aktorskiego talentu; p. Kwieciński, poczciwego młodego kupca, zmuszonego udawać przez dłuższy czas adwokata, odegrał z mężkim wdziękiem, zabarwił ją lekkim, sympatycznym komizmem i wybornie uwydatnił te wszystkie kłopoty i drobnostki wynikające z fałszywej sytuacji, w jaką się sam postawił udając adwokata. Oprócz jeszcze dwóch ról ważniejszych, choć dość bezbarwnych: adwokata i żonę młodego kupca. które odegrane zostały bardzo dobrze przez p. Hierowskiego i pannę Pysznik — inne role były drobne — z pomiędzy nich wyróżniał się pan Piasecki, który jakąś odegrał doskonale. W farsie tej występowali jeszcze panie: German, Praun, Piasecka i Urbanowicz, oraz panowie: Gasiński i Starzewski.

W Rigoletto zaprodukowały się znowu tegosezonowe siły operowe. P. Nolli w tytułowej partji zbierał sute oklaski, p. Vicini w ogóle śpiewał dobrze, ale w kilku miejscach fatalnie się potknął, p. Mansour śpiewała poprawnie, głosem jednak bezbarwnym, bezdźwięcznym, matowym, który zakrył wszystkie piękności kolorytury. Basową partję dzielnie odśpiewał p. Jeromin. Małą partyjkę poprawnie panna Babińska. Siostrę rozbójnika, jak zwykle, pani Kasprowiczowa odśpiewała wybornie.

W Lukrecia Borgia występowała znowu pani Dotti i całą partję Lukrecji śpiewała fałszywie. Na pierwszy plan, jak zwykle w tym sezonie, wysunął się pan Jeronim, który partję księcia, zdrowym i dźwięcznym basem odśpiewał znakomicie. Dość szczęśliwie ze swoją chrypką przepłynął tym razem pan Vicini. Z przyjemnością notujemy piękny śpiew pani Kasprowicz w partji Orsina Pan Laskowski tak w tej operze (Vitoloso), jak i w poprzednich jest bardzo użytecznym nabytkiem wokalnym — nie mówiąc, naturalnie, o operetce, bo w tej jest wybitną siłą.

Drobnostki humorystyczne.

— Zatem rzecz skończona, — ojciec mi nie da pieniędzy?

— Nie dam.

— A więc dobrze, wiem, co mam czynić — odpowiada młodzieniec i porywa szkatułkę z pistoletami.

— Nieszczęśliwy! co chcesz zrobić, woła przerażony ojciec.

— Chcę je sprzedać.

Rzecz dzieje się w sądzie.

— Kasjer pewnego domu komisowego staje oskarżony przed sądem. Prezydujący robi mu tradycyjonalne zapytanie:

— Co pan masz na swoją obronę?

— Mój Boże — odpowiada zapytany — to takie proste. Wiedziałem, że jeśli ja nie wezmę tych pieniędzy, ukradnie je mój kolega...

Niewieścia loika.

— Od śmierci mego męża, życie stało mi się ciężarem.

— Więc bardzo go kochałaś?

— O! tak...

— No, a dlaczego wychodzisz drugi raz za mąż?

— Bo chcę mu zawsze wierną pozostać.

— Wyobraź sobie, mój drogi — mówi jeden przyjaciel do drugiego — że moja żona, używa jakiegoś pudru, który ma smak słodki zupełnie. Zdaje mi się, że jem cukier, jak ją pocałuję.

— To prawda. Ja to samo zauważyłem.

— Proszę tatki — zapytuje czteroletni chłopczyk swego ojca, przechodząc na wsi drogą koło dworu — jak się nazywają te drzewa takie długie, a takie cienkie?

— To są topole, moje dziecko?

— A co się z nich robi?

— Najprzód je ścinają, potem je obrabiają, a w końcu robią z nich . . . deski sosnowe.

— Wie pani, że to mleko, które wczoraj kupiłam, było dobre i nie drogie, — czy pani będzie miała jeszcze takie samo?

— O nie. Nie zawsze mi się uda tak tanio nabyć. Ta pani z drugiego piętra odstąpiła mi wczoraj dwadzieścia pięć liter.

— To ona ma krowy?

— Ale gdzież tam! Bierze kąpiele z mleka i potem odsprzedaje...

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pannie Magdusi we Lwowie. Piszesz pani, że „fijołek w trawie, służy ku zabawie“ i że „chociaż skromny, ma popyt ogromny“. Niech się więc pani kryje, szczególniej ze swemi wierszami.

P. Paw. w R. Zagadka nie pochodzi od "zagadać", ale od "zagadnąć".

P. W. C. w Krakowie. Skorzystamy z niektórych szczegółów, ale ze wszystkich niepodobna, przedewszystkiem dlatego, że nie kwalifikują się do druku.

P. Obywatelowi świata. Nie wszystko złoto, co się świeci i nie wszystko obywatelskie, co się pod ten sztandar podszywa.

P. Ciekawemu nie-literatowi. „Strażnica“ już dawno nie wychodzi — gdzie się podział p. Gniewosz, nie wiemy

Kwiatkowi z różkami. Do „drapania“ drugich piórem, nie tyle potrzeba „pazurków“, jak.., talentu...

P. Stein w Tarnopolu. Ogłoszenie pańskie znajduje się także w Nrze 17 „Gońca“.

Nadesłane.

TEATR ULEPSZONY

(Rysunki Chama).



Można dostać się do swojego krzesła. nie mordując swoich sąsiadów, jak obecnie.



Klakiery będą nosić rękawiczki irchowe, aby nie zagłuszać publiczności.



Lornetki będą zakazane w pierwszych rzędach foteli podczas baletu, a tancerki będą nosić pantalony do samych pięt.



Artystki będą nosiły podczas gry niebieskie okulary, aby nie zapalały serca widzów swoim ognistym wzrokiem.



Zastawiane będą łapki na nosy ciekawych, którzy zaglądają do okienek w lożach.



Nakoniec, w razie pożaru, cała sala będzie mogła stanąć pod wodą dzięki wynalazkowi panów inżynierów.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo, Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni „Gazety Narodowej" ulica Kopernika l. 5.